Rozmaitości

DNIA 28. CZERWCA N^er 26. 1834 ROKU.

WYJĄTKI Z OBRAZÓW WSCHODU

ALFONSA DE LAMARTINE.

Dnia pewnego kazałem na polu opoczystém, gdzie stało kilka karłowatych drzew oliwnych, rozbić namiot pod muramy Jerozolimy, o kilkaset kroków od wieży Dawida, trochę nad krynicą Siloe, dotąd jeszcze wypływającą z pośród strupieszałych kamieni groty swojéj, nie daleko grobu królewskiego poety (Dawida), który tę krynicę tak często opiéwał. Wysokie czarne tarasy, dźwigające niegdyś świątynią Salomona, wznosiły się po lewéj stronie, uwieńczone trzema błękitnémi kopułami i lekkiémi, prawie powiewnémi słupami meczetu Omara, stojącego na rozwalinach kościoła Jehowy. Miasto Jerozolima, gdzie właśnie powietrze grasowało, zanurzone prawie było w morzu słonecznych promieni, ognisto odbijających od tysiąca jego kopuł, białych marmurów, i murów, tak wiekami, tudzież wiatrami słonego jeziora asfaltyckiego, jak gdyby były polerowane, wygładzonych. W obrębach miasta tego nie słychać było ani wrzawy, ani zgiełku; było ono pogrążone w ponurém milczeniu, jak sen trupa. Bramy jego stały otworem i postrzegano niekiedy biały turban i płaszcz czerwony żołnierza arabskiego, co odbywał straż niepotrzebną przy spustoszałéj bramie. Nikt nie wchodził doń, nikt nie wychodził, tylko wiatr poranny, wznoszący samotnie po drogach tumany kurzu, wystawiał na chwilę łudzący obraz karawany. Lecz gdy przeminęła krótka jego igraszka, gdy zaumiérając szumiał jeszcze tylko około trzech palm domu Kaifasza i pył opadł na ziemię, znowu pustynia okazała się w koło i nie słychać było po kamieniach drogi, ani kopyta wielbłądów, ni mułów. Tylko co ćwierć godziny otwiérały się podwoje zamkniętych bram Jerozolimy, i widzieliśmy trupy, zmarłych właśnie na morową zarazę, zwykle przez dwóch nagich niewolników niesione na marach do grobów, nie daleko nas położonych. Czasami Turcy, Arabowie, Ormianie i Żydzi towarzyszyli w długich pochodach zmarłemu, i pośród spiéwów zagrzebli go między drzewami oliwnémi; potém powolnémi kroki i milcząc wracali do miasta. Lecz najczęściéj bez orszaków chowano umarłych, i zaledwo owi dwaj niewolnicy na kilka piędzi ziemi wykopali dół w piasku, lub w prochu wzgórza, i do tego ostatniego łoża wrzucili zapowietrzonego, usiadali na jego mogile i dzielili się sukniami nieboszczyka. Potém zapaliwszy fajki na długich cybuchach, palili w milczeniu i poglądali na dym tytuniowy, jak wznosił się w lekkich błękitnych bałwanach i w przyjemnych postaciach ginął w ciepłém przeźroczystém powietrzu jesieni.

U nóg moich, jak grób obszérny, rozpościérała się dolina Jozafata, którą rzéczka Cedron srébrnémi przerzynała pasami. Napełniona była wielkiémi głazami, a zamykające ją ściany dwu wzgórzów były prawie białe od grobów i wydłótowanych turbanów, dumnych pomników otomańskich. Trochę na prawo wznosiła się góra oliwna, a z pomiędzy rozrzuconych łańcuchów gór ostrokrągłych, nagich, wulkanicznych miasta Jerycho, widać było widnokrąg w dalekowidni, podobny do jasnego pasa pomiędzy nierównémi wierzchołkami cyprysów. Mimowolnie błądziło tam oko, pociągane światłem i ołowianym kolorem Morza Umarłego, leżącego u stóp

)(

gór tych. Całkiem w głębi odgraniczały widnokrąg błękitne góry Arabii skalistéj; lecz wyraz odgraniczać nie jest tu na swojém miéjscu, gdzie góry owe zdawały się przeźroczyste, jak kryształ, i jeszcze za niémi było widać, lub zdawało się nam, że widzimy, daleki, bezkoneczny horyzont, jak rozprzestrzeniał się w około i pływał, że tak rzekę, w morzu purpury i światła. Był czas południa i *muezyn*, uważając na słońce, wygłaszał godzinę modlitwy z najwyższéj galeryi minaretu, spiéwając donośnym, pełnym ducha głosem, znamionującym, że rozumié to, co spiéwa. Z worka, zrobionego z śierści koziéj, dawali Arabowie obrok koniom moim, które tu i ówdzie w około namiotu przy kółkach żelaznych, do nóg im przymocowanych, przywiązane były. Kochane, dobre zwiérzęta te stały bez ruchu, pospuszczały głowy, ocienione swojémi długiémi grzywami, a ciemna śierść ich błyszczała i wydawała parę w promieniach świécącego prostopadle słońca. Ludzie ukryli się pod cieniem rozłożystych drzew oliwnych; pokładli się na swoich derhach, palili tytoń i opowiadali sobie powiastki z puszczy, lub spiéwali pieśni Antara. Antar, jestto wzór koczującego Araba, pastérz, wojownik i poeta razem; on puszcze ze wszystkiémi jéj własnościami w swoich pieśniach ludu określił, epik jak Homer, pełen rozrzewnienia jak Hiob, zakochany jak Teokryt, filozof jak Salomo. Wiérsze jego, które fantazyją Araba to w marzeniach usypiają, to wzruszają gwałtownie, odbrzmiewały pełnémi głosy w ożywionéj grupie towarzyszy moich, i skoro poeta przemówił do umysłu tych dzikich, ale czułych ludzi, słychać było, jak cichy szmer wydawały ich usta, składali ręce i, podnosząc je do góry, wołali po kolei, schylając głowę: »Ałłah, Ałłah, Ałłah!« O kilka kroków ode mnie płakała młoda turecka niewiasta za małżonkiem swoim koło jednego z owych małych pomników z białego kamienia, którémi napełnione są wzgórza Jerozolimy. Zdawało się, że nié ma więcéj, jak lat ośmnaście, lub dwadzieścia, i nie widziałem jeszcze tak rozrzewniającego obrazu boleści. Jéj profil, ile z pod uchylonéj zasłony widziéć mogłem, miał składny zarys ładnych głów Parthenonu, ale oraz szlachetność, słodycz i pewną rozlaną po twarzy przyjemność kobiét azyjatyckich, co jest pięknością daleko więcéj niewieścią, daleko więcéj przyjemną i czarowniéjszą dla serca, jak surowa i mężka piękność niewiast greckich. Włosy jéj ciemno-blond, przebijające się złotem, jak bronz starożytnych posągów (kolor, który w tym kraju słońca, jako wieczny odblask jego, jest niewymownie ceniony) były rozpuszczone z głowy, spływały w około niéj i dotykały się ziemi w prawdziwém znaczeniu tego wyrazu. Jéj piersi były całkiem obnażone, podług zwyczaju kobiét téj części Arabii, a gdy się schyliła dla objęcia rękoma kamiennego turbanu, lub przyłożenia ucha do grobu, wtedy nagie jéj piersi dotykały się ziemi i formę swoję wyciskały w piasku, podobnie do pięknego gorsu pogrzebionéj Atali, którego ślady widać było na piasku mogiły, w cudnym poemacie Chateaubrianda! Różnémi gatunkami kwiatów posypała w około grób i ziemię. Piękny dywan adamaszkowy był przed nią rozpostarty, na nim stały różne naczynia z kwiatami, i koszyk pełny fig i placków jęczmiennych, gdyż tam w żalu dzień cały spędziła. Dołek wykopany w ziemi i znajdujący się według jéj mniemania nad uchem zmarłego, służył jéj za trąbę głosową do drugiego świata, gdzie ten przebywał, którego odwiédzała. Co chwila schylała się ku dołkowi temu i, spiéwając, wpuszczała weń ze szlochaniem pomieszane słowa; potém kładła nań ucho, jak gdyby oczekiwała odpowiedzi, i znowu spiéwała i płakała daléj! Chciałem wiedziéć wyrazy, które wymawiała, a których brzmienie aż do mnie dolatywało, lecz mój tłumacz arabski nie mógł ich dobrze zrozumiéć, a przeto i wytłumaczyć. Jakże mi żal było nie zrozumiéć słów tych! Ileż tajemnic miłości i żalu, ile najczulszych westchnień rozdzielonéj od kochanego przedmiotu duszy, musiały zawiérać w sobie te pomieszane i łzami skrapiane wyrazy! O, jeźli co umarłego wskrzesić jest w stanie, to pewnie takie wyrazy i z takich ust wyrzeczone! O dwa kroki od téj niewiasty, pod kawałkiem czarnéj materyi, jak słońcochron nad ziemią na dwóch tykach rozwieszonéj, bawiły się małe jéj dziatki z trzema czarnémi abissyńskiémi niewolnicami, które, jak ich pani, mieściły się także na dywanie, rozłożonym na piasku. Trzy te młode

i ładne niewiasty, z postacią i ostrémi rysami twarzy Murzynów abissyńskich, zdawały się w położeniu swojém formować grupę, do posągów, wyrobionych z jednego kamienia, podobną. Jedna była kolanem oparta o ziemię, a na drugiém trzymała dziecko, ktore rączki swoje wyciągało ku stronie, gdzie matka płakała; druga, klęcząc, spoczywała na obu nogach i miała ręce złożone nad przepaską z niebieskiego płótna, jak Magdalena Hanowy; trzecia stała trochę pochylona nad obu towarzyszkami, a chwiejąc się na prawo to na lewo, kołysała najmłodsze dziecko u piersi swojéj, zaledwo utworzonéj od natury, i na próżno starała się uspić je. Zasłyszawszy dzieci szlochanie swéj matki zaczęły także płakać, a czarne niewolnice, odpowiedziawszy łkaniem swéj pani, spiéwały, dla uspokojenia dziatek, rozmaite piosnki swéj ojczyzny.

Była niedziela; o dwieście kroków ode mnie, za grubémi wysokiémi murami Jerozolimy, słyszałem, gdy wiatr obrócił się ku mnie, jak z czarnych kopuł klasztoru greckiego brzmiało dalekie, słabe echo nabożeństwa. Hymny i psalmy Dawida, spiéwane po dwu tysiącach lat, obcémi głosy i w nowym języku, dawały się słyszéć z tych samych wzgórzów, na których były natchnione, a na tarasie klasztoru widziałem kilku mnichów Ziemi Świętéj, tu i ówdzie przechadzających się i, z brewiarzami w ręku, odmawiających te modlitwy, co już tyle wieków w najrozmaitszych językach i sposobem najrozmaitszym odmawiane były! A ja, patrząc na to, umyśliłem opiéwać te wszystkie dziwności, zgłębiać wieki w ich kolébkach, zapuszczać się aż do źródła dla śledzenia nieznanego postępu cywilizacyi świata i religii, duchem miéjsca, tudzież ukrytą dziejów i zmian różnych osnową ożywić się na ruinach, będących jutrznią dla nowego świata, i głębszą mądrością, oraz prawdziwszą filozofiją napoić poważną poezyję i pomysł o duchu czasu, w którym żyjemy!

Sceny te, które przypadek przedstawił oczom moim, przywiodły mi w pamięć los i koleje wszystkich rodzajów poezyi: czarne niewolnice, które dzieci naiwnémi pieśniami utulały, wyobrażały poezyją pastérską, czyli poezyją natury z dzieciństwa narodów; młoda wdowa turecka, opłakująca męża swojego i spiéwająca żale na jego grobie, przedstawiała poezyją elegijną i namiętną, poezyją serca; Arabowie, powtarzający sceny wojenne, miłośne i cudowne przygody Antara, wyobrażali poezyją epiczną i wojenną nomadów, czyli narodów zdobywczych; mnisi greccy, spiéwający psalmy na samotnych tarasach, przedstawiali poezyją świętą, lirykę uniesienia i przekształcenia religijnego; a ja, rozmyślając pod moim namiotem i zbiérając prawdy historyczne, czyli myśli o rzeczach świata tego, wyobrażałem niejako poezyją filozofii i rozwagi, owę córkę czasu, w którym ucząca się ludzkość zagłębia się aż do wnętrza tych pieśni, co ją w chwilach swobodnych bawiły.

Otoż mamy już całą poezyją przeszłości, ale cóż z niéj na przyszłość będzie?

W kilka miesięcy poźniéj byłem w podróży po Libanie, gościem szeika Edenu, włości arabsko-maronickiéj, leżącéj pod szpiczastémi cyplami góry, na krańcach wegetacyi i tylko w lecie zamieszkałéj. Czcigodny starzec z synami swoimi i kilku służącymi jechał za mną aż do Tripoli i przyjął mię w zamku swoim Eden z taką godnością i przyzwoitością w postępowaniu, jaką wyobrażamy sobie u naszych dawnych panów z dworu Ludwika XIV. Całe drzewa paliły się na ogromném ognisku; skopy, kozy, jelenie leżały kupami w obszérnych sieniach, a sto-letnie szawłoki (wory skórzane) złotego wina Libanu, przyniesione przez służących z piwnicy, płynęły dla nas i dla towarzyszów naszéj podróży. Gdym zabawił tam dni kilka i przypatrzył się pięknym obyczajom homerowskim, tak poetycznym, jak miéjsca, gdzieśmy je jeszcze znaleźli, dał mi szeik swojego najstarszego syna i kilkunastu jeźdźów arabskich, ażeby mię zaprowadzili pomiędzy cedry Salomona. Są to sławne drzewa, tworzące dotąd świątynią najwyższych szczytów Libanu, a dokąd od wieków już przybywają ludzie dla uczczenia ostatnich świadków sławy Salomona. Nie będę drzew tych opisywał, lecz wspomnę tylko o powrocie moim dnia tego samego, gdyśmy zabłądzili w zakrętach i pieczarach skalistych, znajdujących się po wszystkich stronach téj części Libanu, i gdyśmy raptem znaleźli się na krawędzi ogromnéj ściany skalistéj, zapuszczonéj w głąb na kilka tysięcy stóp i zamykającéj dolinę świętych. Sciany

)(2

tego wału granitowego tak prostopadle w dół się zniżały, że nawet koza dzika nie byłaby znalazła ściészki do zejścia, a Arabowie nasi musieli się kłaść na brzuchy, chcąc dojrzéć aż do spodu. Słońce zapadło, a my błądziliśmy już długo i byłoby jeszcze kilka godzin trwało, nimbyśmy byli znaleźli zgubiony ślad, by do Edenu powrócić. Zsiedliśmy nareszcie z koni i, poruczając się jednemu z przewodników naszych, wiedzącemu nie daleko miéjsca tego o naturalnych schodach skalistych, wykutych od mnichów maronickich, mieszkających od czasów niepamiętnych w téj dolinie, szliśmy kawał duży krawędzią ściany, wreszcie, spuściwszy się po tych schodach, dostaliśmy się na wystającą ze skały płaszczyznę, zkąd wolny mieliśmy widok.

Dolina formowała széroką spadzistość poniżéj krainy śniegu i cedrów, wydających się jak czarne punkta na śniegu. Śnieg toczył się tu po warstwach murawy żółto-zielonego koloru, jaką widzimy na wysokich szczytach, góry Jura, lub Alpów. Woda, tu i ówdzie promieniani z pokrywy śnieżnéj wytryskująca, wilgociła murawę tych urwisk i u stóp piérwszéj tarasy skalistéj łączyła się w nurt bałwanów i piany. Tam dolina raptem na dół spadała w głąb cztérech do pięciuset stóp, a spadająca z nią woda i rozlewająca się po ogromnéj przestrzeni okryła wkrótce skałę zasłoną płynną i przeźroczystą, a potém, odrywając się od niéj w tryskających łukach i spływając silnie na ogromne, od szczytów oderwane massy granitu, łamała się na nich, w tysiąc rozbryzgiwała się części i wydawała huk, do wiecznego gromu podobny. Wiatr, tym spadem wody wzniecony dolatywał aż do nas, parę wodną w tysiącu kolorów wirem w górę kręcił, wszędy powiéwał nią po całéj dolinie, i spuszczał ją, jako rosę, na gałęzie krzaków i cyplów skał. Dolina świętych była ku północy coraz głębszą i coraz się więcéj rozszérzała; daléj, może o dwie mile od miéjsca, na którém staliśmy, były dwie nagie ciemne góry tak blizko siebie przysunięte, a ich wierzchołki tak bardzo stykały się z sobą, że zaledwo między niémi był przesmyk długości stóp kilkunastu; tu zamykała się dolina. Po za témi obu odgraniczającémi ją górami widzieliśmy na widnokręgu coś podobnego do jeziora, koloru więcéj jeszcze modrego, jak niębo. Byłto kawał Morza Syryjskiego, opasanego cudowną zatoką, utworzoną przez inne góry Libanu. Zatoka ta była o dwadzieścia mil oddalona od nas, lecz z powodu przeźroczystości powietrza widzieliśmy ją tak dobrze, jak gdyby leżała u nóg naszych, i nawet rozróżnialiśmy dwa statki pod żaglami, co rozpostarte po między błękitem morza i nieba, i pomniéjszone oddaleniem, wydawały się jak dwa łabędzie, po widnokręgu szybujące. Widok ten ogólny z taką w początku pociągał nas mocą, że wzrok nasz nie mógł utkwić szczegółowo w żadną część pojedynczą obrazu; lecz gdy piérwsze zachwycenie zniknęło, a dolina mogła się przebić przez mgłę gęstą wieczora i wody, powoli inne widowisko natury rozwinęło się przed naszémi oczyma.

Przy każdym zakręcie strumienia, gdzie spadające bałwany cokolwiek miéjsca zostawiły, wznosił się klasztor maronitów z ciemno czerwonéj cegły, odbijający od szarych skał, a dym wychodził z niego w powietrze, z pomiędzy palmowych i cyprysowych drzew. Klasztory te były otoczone małémi polami, wydartémi skałom, lub potokom i tak dobrze uprawnémi i w stanie tak kwitnącym, jak najtroskliwiej pielęgnowane ogrody naszych domów wiejskich. Tu i ówdzie widzieliśmy maronitów w ich czarnych kapuzach, z pól wracających po pracy. Jedni nieśli rydle na plecach, drudzy, pasąc, pędzili przed sobą małe stadka kur arabskich, inni, rękoma o pług oparci, poganiali woły, pod drzewami morwowémi. Niektóre z tych modlitwom i pracy poświęconych gmachów wisiały z kaplicami i pustelniami swojémi na najwyższych szczytach dwóch potężnych łańcuchów gór. Niektóre były w skałach wykute. Widać było drzwi tylko, nad niémi dach, a pod nim dzwonnicę. Pod sklepienie skały wychodzili starzy i słabi mnisi na mały taras, dla używania świéżego powietrza i słońca. Wszędzie, dokąd tylko noga człowieka wejść mogła, bądź na brzegu chropawego urwiska, lub gdzie oko żadnego przystępu dojrzéć nie mogło, widzieliśmy tu klasztor, tam krzyż, tu konfesijonał, tam pustelnią, a koło tych znaków pobożności, pomiędzy skałami i krzakami, przechadzali się pustelnicy, pracując, czytając i modląc się.

Jeden z tych klasztorów był drukarnią na wytłaczanie książek, służących ku nauce narodu Maronitów, i widziano na tarasie mnóstwo mnichów, jak przychodzili i odchodzili i białe arkusze mokrego papiéru rozwieszali, na rusztowaniu z prętów. Tylko malarz byłby w stanie skréślić nam owe mnóstwo i ów cudowny powab tych siedlisk swobody. Każdy kamień zdawał się miéć celą, każda grota swojego pustelnika, każde źródło miało ruch i życie, a każde prawie drzewo samotnika pod swoim cieniem. Wszędzie, dokąd tylko oko sięgało, ożywiały się, że tak rzekę, przed naszémi oczyma doliny, góry i urwiska, i obraz życia, modlitwy i religijnego rozpamiętywania rozwijał się w tych odwiecznych pieczarach i oblekał je barwą świętości. Lecz słońce zaszło całkiem, dzienne roboty pokończone zostały, a te rozsiane po dolinie czarne postacie mnichów wracały do swoich grot, lub klasztorów. Ze wszéch stron głosiły dzwony godzinę modlitwy wieczornéj; jedne tonami hukliwémi, jak wiatr, po morzu wyjący, drugie łagodniéjszémi dźwięki, jak głos srébrny ptaków na niwach, zbożem okrytych, a niektóre żałośnie jęcząc z daleka, jak westchnienia w nocy i w dzikiéj pustyni. Wszystkie te dzwony odpowiadały sobie z obu przeciwległych końców doliny, a tysiączne echa grot i pieczar odbijały je w pomieszaném brzmieniu. Huk potoków, szum cedrów, łoskot źródeł i wodospadów, którémi oba boki góry przerznięte były, mieszał się z témi tonami. Raptem ucichło na chwilę, a nowy, słodszy i melancholiczniéjszy odgłos zabrzmiał i napełnił dolinę. Byłto śpiew psalmów, który na raz dał się słyszéć z każdego klasztoru, z każdego kościoła, z każdego konfesijonała, z każdéj celi téj góry, a który, zlewając się razem, aż do nas dochodził i, podobny do szumu jeziora, był jedną melodyjną skargą całéj doliny, duszą i głosem napełnionéj. Potém wonia kadzideł, wzbiwszy się z każdego dachu i z każdéj groty, napełniła świętym balsamem to powietrze, którém aniołowie byliby mogli oddéchać.

WSPOMNIENIE.

SONET.

Na dolinie Dunajca kwitła biała róża,
A na wzgórzu Dunajca żyli ludzie cnoty:
Tam, gdy mię losów dzika zapędziła burza,
Rozjaśniali mi chmurę posępnéj tęsknoty,
Jasne wody, ci ludzie i ta biała róża.

Jak lubo było patrzéć na te wody jasne,
Gdy ciche — w mgnieniu oka już gwałtowne, rwące,
Pędzą — pęd im za wolny — brzegi im za ciasne;
Jak lubo było patrzéć w ich fale pieniące,
Widziéć w nich czucia swoje, życie swoje własne.

Jak lubo było patrzéć w róży cudne zwoje;
W ten kwiat czuły, powiewny, rajskiego ogrodu,
Spadły z tchnieniem Edenu! To były sny moje!

Dziś wszystko, wszystko przeszło... dziś jest tylko cieniem
Na tle pamięci... ale do dni mych zachodu,
Cień ten widzialny będzie méj duszy promieniem.

Maj, 1834.

POMNIK ANDRZEJA HOFERA,

BOHATÉRA TYROLU.

Statua Andrzeja Hofera z marmuru, którą Tyrol winien hojności najłaskawszego Monarchy naszego, wystawiona jest już w miéjscu, dawno jéj przeznaczoném, w kościele nadwornym w Innsbrucku, obok dostojnych przodków domu cesarkiego, i to wystawienie obchodzono równie godnym, jak umysł wznoszącym sposobem. Z pomiędzy zdań o tém dziele sztuki, umieszczonych w pismach wiedeńskich, wyjmujemy artykuł, zawarty w Nrze 153 pisma: *Archiv für Geschichte, Erdbeschr., Staatenkunde, Kunst u. Litterat.* z roku 1833, w którym ówczasowy wydawca jego, zmarły radzca rządowy Ridler, najprzód opowiada nam powód do tego pomnika, a potém samo dzieło opisuje.

»J. C. Mość poruczył prof. Schaller, z powodu pięknych robót swoich, już dawno austryjackim Thorwaldsenem zwanemu, wykonanie tego, prawdą i prostotą wyszczególniającego się pomnika. »Wystaw wćpan Hofera,« rzekł mu Monarcha, »w postaci, w jakiéj rycérzy widujemy często po kościołach, lecz niech ma ubior włościański, bo wszakże był włościaninem.« Po trzyletniéj pracy arcydzieło to ukończone zostało. Bohatér, wysokości stóp siedmiu, stoi na ścianie skalistéj, która po lewéj stronie ma wyrytego orła, zwyczajnego mieszkańca Alpów, także herb Tyrolu, jako pomnik dawnych zwycięztw. Chaszcze dębowe i bluszcz opasują skałę. Dąb jest wyobrażeniem siły męzkiéj, a bluszcz

wierności; więc patrzący ani na chwilę nie powątpiewa, że znajduje się koło skał wiernego Tyrolu. Obnażona głowa i duża gęsta broda bohatéra mogłyby znamionować w nim jednego z szlachetnych Rzymian, gdyby nie znany tyrolski ubior narodowy z szérokim pasem, przerzucona przez plecy strzelba, któréj rurę lewą ręką trzyma, nie przypominały nam prostego włościanina, co najświętszémi uczuciami przejęty, śmiało prawicą swoją podnosi chorągiew, na któréj po jednéj stronie czytać można pismem gotyckim wyrazy: *Für Gott, Kaiser und Vaterland!* po drugiéj zaś te słowa po łacinie: *Pro Deo, Imperatore et Patria!* a którego podniesiony w niebo wzrok, wyraża zupełne w dawcy zwycięztw zaufanie. Sąto szlachetne rysy bohatéra chrześcijańskiego, który, jako męczennik wolności, ulegając woli najwyższego, na śmierć się poświęca. Już w tych tak przemawiających rysach twarzy widoczny jest talent mistrzowski artysty. Po prawéj leży na skale kapelusz Hofera, ozdobiony piórem cietrzewia, znakiem dzielnego wojaka. Zakonnice z Innsprucku ofiarowały mu podobny w darze.* Cały pomnik z podstawą ma od spodu do góry 17 do 18 stóp, a 9 1/2 stop. bez podstawy, i wyrobiony jest z jednéj ładnéj bryły marmuru tyrolskiego, jaki często znachodzą w okolicy Schlanders, powyżéj Göflanu, w bryłach, *Neulinge* zwanych. Do podstawy zrobił dyrektor Klieber, rodem z Innsbrucku, płaskorzeźbę z marmuru kararyjskiego, gdyż tyrolski nie jest do tak delikatnéj roboty przydatny. Sześciu Tyrolczyków, jako zastępcy sześciu obwodów, przysięgają Hoferowi na chorągiew wierności, wytrwać w téj wielkiéj walce. Płaskorzeźba ta malowana była przez malarza Schermer i tylko w tém odmienioną została, że wojownicy, miasto na szablę, na schyloną chorągiew przysięgają, przezco tę niestosowność usuniono, że gdy już główna figura chorągiew trzyma, pod nią na płaskorzeźbie znowu bohatér podnosi chorągiew. Po prawéj od przysięgających stronie spoczywa na skale modlący się starzec, uradowane małe chłopaki pną się ku niemu, a po lewéj stoi rodzina, zwracająca na bohatéra miłe spojrzenie. Po za tą grupą stoją strzelcy tyrolscy, za nimi lud z kosami i pikami, u stóp góry inni jeszcze strzelcy, a w saméj głębi widać szczyty Alpów. Jestto piękny, z upodobaniem malowany obraz. Powyżéj płaskorzeźby umieszczone jest imię Andrzeja Hofera wielkiemi literami, i liczba roku MDCCCIX.

* We wrześniu 1809 zamienił swój kapelusz na ten sobie ofiarowany. Na brzegu stosowanego kapelusza tego była Madonna, olejno malowana, a nad nią pióro. Na szérokiéj czarnéj aksamitce były złotémi, na cal dużémi literami napisane wyrazy: »Andrzej Hofer, naczelny dowódzca Tyrolu.«

SZCZEGÓŁY Z ŻYCIA LANDERA.

O sławnym podróżniku Ryszardzie Lander, donosi wiele nowych szczegółów list brata jego, który tutaj umieszczamy: »Ryszard był wprawdzie słabej budowy ciała, lecz miał wielką siłę w muskułach i konstytucyją prawdziwie żelazną. Wszystkim, co go raz pierwszy widzieli, wpadały w oczy jego szérokie piersi, otwarte rysy twarzy i żywość oka. Posiadał w wielkim stopniu owę spokojną odwagę, tak koniecznie dla podróżnika afrykańskiego potrzebną. Obchodzenie się jego było łagodne, bez pretensyi i ujmujące, co, połączone z wesołym jego humorem, z twarzą wypogodzoną i ładną, robiło go ulubieńcem wszystkich, którzy go znali, a od których serdecznie był kochany w prawdziwem znaczeniu tego wyrazu. Nikt jednak nie wie lepiej od towarzyszy jego lat dziecięcych i przyjacioł dojrzałego wieku, jak naturalna dobroć mieściła się w jego charakterze, i jak wyborne, czułe serce posiadał. Ryszard Lander był tak kochany od prosto-dusznych Afrykanów, że w głębi Afryki, to jest: w Katunga, Boussa, Jaourie i w innych miejscach, mieszkancy tłumnie wybiegali z chat, dla uściskania go raz ostatni, nim domy ich opuścił, i w imieniu Boga swojego błogosławili mu ze wzniesionemi do góry rękoma i z zalanemi łzami oczyma. — Zostawił jedno dziecko i w smutku pogrążoną wdowę, które przykry los swój opłakują. — Lecz równie politowania godny jest los większej części podróżników afrykańskich! Przedsiębierczy Ledyard, który przebył większą część kuli ziemskiej, padł ofiarą klimatu, gdy zaledwo tylko wstąpił nogą na ziemię afrykańską; poczciwy, ale nieszczęśliwy malarz Honahton, zrabowany przed murami Ludamaru, i porzucony w nędzy, umarł w puszczy; Mungo Park był od krajowcow włoczniami i strzałami przyjęty i koniec świetnego życia swojego znalazł w Nigrze, major Denham, uszedłszy szczęśliwie niebezpieczenstwa wielkiej i ze wszystkiego obnażonej puszczy Sahary, umarł w Sierra-Leone; Belzoni, zgłębiając bieg Nigru, uległ klimatowi Berimu. I o tylu podróżnikach nic więcej nie słyszano, odkąd wybrali się w podróż! Przedsiębierczy,

dobrze myślący Clapperton, do żywego zawiedzionemi oczekiwaniami dotknięty i osłabiony długotrwałą chorobą, która go na szkielet wysuszyła, wyzionał ducha w nędznej chacie Sakkamu i, ażeby ten smutny spis słynnych mężów uzupełnić, wstąpił także Ryszard Lander do grobu, zabity okrutnie od wściekłego tłumu dzikich ludzi! Lecz los tych dzielnych mężów nie jest bynajmniej niesławnym; imiona ich żyją w pamięci ich współziomków i każdy przyjaciel ludzkości, tudzież każdy człowiek szlachetnego ducha przedsiębierczego koniec politowania godny ich usiłowań opłakiwać będzie.

W pamięci pozostałych żyjący statecznie,
Żyć będą wiecznie!«

— Ze Lwowa. —

Znakomity nasz autor dramatyczny, Alex. hr. Fredro, pomnożył literaturę naszę nowym utworem scenicznym. Jestto komedyja we 3ch aktach wierszem, pod nazwę: Ciotunia, dawana raz pierwszy na scenie naszej dnia 16go b. m. Teatr był niezmiernie napełniony.

Z listu z obwodu wadowickiego. W króciuchnej rzeczy o Piotrze Żupniku, lekarzu polskim, w 15tym wieku żyjącym, w Nr. 22. t. r. Rozm. umieszczonej, wyczytuję, jakoby tenże pochodził z miasta Sola, w obwodzie wadowickim. Mieszkaniec tego obwodu nie mogę pominąć omyłki, jaka w téj mierze, co do jeografii własnej ziemi, popełniona została. Nie ma bowiem w tym obwodzie, a podobno w całym kraju naszym miasta nazwiskiem Sola, a sperając już dosyć w dawnych dziełach i dokumentach, nigdzie o mieście podobném nic nie znalazłem. Jest tutaj tylko rzeka Soła, przerzynająca ten obwód w całej jego szerokości od granicy węgierskiej aż do Rzpltéj Krakowskiej, która poczynając się, jak wszystkie wody Podgórza, w Karpatach, nadała swe imię wsi, na której gruncie najdalsze jej źródło wytryska, a téj nazwa początkowa U-Soły, poźniej na Uysoły przekręcona została. Sama zaś Soła, przebiegłszy w kierunku od południa ku połnocy wedle miast Żywiec i Kęty, przestrzeń około mil 10ciu, pod Oświecimiem nurty swoje królowéj rzék naszych, Wiśle, w hołdzie oddaje. Blizko od Uysoł, jest druga wieś Sól nazwana, również w najwyższych górach, w samym kącie między granicami węgierską i szlaską leżąca, któréj potoki do téjże wpadają Soły. We wsi téj, podobnie jak i w Uysołach, pokazywały się od najdawniéjszych czasów źródła wody słonéj, zniszczone teraz. Źródła te są bezwątpienia początkiem nazwisk Sol, Soła, U-Soły czyli Uysoły, ile, że dotąd woda naturalnie słona naukowo nawet wyrazem *zoła* oznaczona bywa. Czyby więc Żupnik nasz istotnie z téj pochodził okolicy i czyli w Soli, lub w Uysołach urodzony, dociekaniom światłych zostawując badaczów, wypada zwrócić w końcu jeszcze uwagę na uderzającą analogiję nazwiska naszego lekarza z miejscami dopiéro wspomnionémi i onych imionami. Jakoż żupami zwano od dawna kopalnie soli i zakłady do wywarzania onej z wody słonéj, czyli zoły, a nad takiémi przełożony był żupnik. Może więc samo pochodzenie z miéjsca, gdzie się zawsze zoła znajdowała, nadało i Piotrowi naszemu nazwisko. — Podobnąż omyłkę dostrzegłem i w roku zeszłym, N. 30 tychże Rozmaitości, gdzie wsi Balice naznaczono położenie w obwodzie bocheńskim, gdy tymczasem wieś owa jest nawet za granicą Galicyi, w Rzpltej Krakowskiej, o dwie mile ku zachodowi od samego Krakowa oddalona. Miéjsce i starożytny na skale napis, o którym tam mowa (pamiętny miłością Kmity ku Bonarównej) sam w r. 1828 w licznem obcych i rodziny dóbr tych właściciela odwiedzałem towarzystwie, lecz nie pamiętam odgadnionych dotąd wyrazów. Wiem tylko, iż skała ta, na kilka sążni wysoka, nie w samych Balicach, ale w należącéj do nich i poblizkiéj wiosce Szczyglicach, w nader pięknem ustroniu, stoi nad rzéczką Rudawą, w którą, wedle ustnego podania, rozkochany rzucił się Kmita. Przypominam sobie także, iż przy nazwiskach Kmita i Bonarówna żadnych imion chrztu wyczytać nie mogliśmy. Ja sam wdarłem się na szczyt téj fatalnej skały, a będąc jedną z obecnéj drużyny osobą, podobnie jak nieszczęśliwy Kmita ową Bonarówną zajęty, uważałem, że dzisiejsze koryto rzéczki, zapewne skutkiem zmian czasu, zbyt się od stóp skały odsunęło, aby teraz do nurtów jéj doskoczyć można. Syn niniejszego dóbr tych dziedzica, pan Alfons Skorkowski, synowiec JX. Biskupa Krakowskiego, znany światu literackiemu z małych próbek poezyj, których skąpo przyjaciołom swéj muzy w pismach czasowych udziela, ubarwił swém tkliwém piórem ten ciekawy zabytek starożytności i wysnuł z niego romans historyczny, śmiercią Kmity się rozwiązujący. Szkoda tylko, że niesprawiedliwy względem siebie samego i z natury swym pięknym zdolnosciom nie ufając, dotąd w ukryciu chowa swoje dzieło. Tymczasem, pomimo tak mocnego zajęcia się tym przedmiotem, nic historycznego o nim nie odkrył. To tylko jest pewna, że dobra te, z Balic, Burowa i Szczyglic, jak i dzisiaj złożone, w 16tym wieku do przemożnéj Bonarów należały rodziny, jak to prócz innych dowodów stwierdza w aktach rządowych, a zwłaszcza w dokumentach prywatnych często znajdywany tytuł: »My Sewerynu Bonar z Balic, kasztelan Żarnowski, na Ogrodzińcu »i Kamieńcu żupnik, burgrabia i najwyższy sprawca wielki»krakowski, Księztw Oświecimskiego i Zatorskiego, Biecki i Rabsztyński i t. d. starosta.« Mam nawet kopią datowanego aktu między Janem i Stanisławem, synami tegoż Seweryna Bonara w r. 1551 sporządzonego, mocą którego dobra wyraźnie wymienione: Balice, Burow i Szczyglice, w ziemi i powiecie krakowskim leżące, starszemu Janowi, kasztelanowi Oświecimskiemu, burgrabi Krakowskiemu, a staroście Rabsztyńskiemu przypadły. Pisałem w Kobiernicach d. 7. czerw. 1834. *Apollonijusz Tomkowicz.*

Z Krakowa. Wychodzić tu będzie nowe pismo czasowe, prawnictwu poświęcone, *Temis*, pod redakcyją Felixa Słotwińskiego, dr. ob. praw, profesora praw. rzym. i koscicl., dziekana wydziału prawa we wszechnicy jagiellońskiéj. Samo imię autora, znanego z wielu dzieł naukowych, jest najlepszą rękojmią użyteczności pod względem naukowym i literackim zapowiedzianego pisma.

Rozmaitości Krakowskie donoszą w Nr. 24 z r. b. że Wiktor Hugo zaręczył się w tych dniach z pewną panienką w Paryżu. Ile nam wiadomo sławny ten poeta francuzki już jest od lat kilku ożeniony.

Z Warszawy. JPan Karol Lipiński dawał trzeci koncert dnia 11. b. m. i z równym był przyjęty zapałem. Ze stolicy Królestwa Polskiego wyjeżdża do Poznania i Gdańska, ztamtąd wraca przez Warszawę do Lwowa, zkąd dopiéro ma zamiar wybrać się w swoję wielką podróż do Francyi i Anglii. Miło nam jest wyczytać w Dzien. Pow., że z upragnieniem oczekują w Warszawie powtórnych jego koncertów po jego powrocie z Gdańska.

O dziele »Historyja prawodawstw sławiańskich« W. A. Maciejowskiego z chlubą wspominają zagraniczne pisma. Profesor Hänel w Lipsku, w dzienniku *Jahrbucher der gesammten deutschen Litteratur* r. 1832, w 2giej części, mówi: »Praca ta należy do tych dzieł rzadkich, które nie »tylko jeden naród, ale całą sławiańszczyznę obchodzą.« W końcu życzy profesor Hänel, aby dzieło to zostało przełożone na łaciński, lub niemiecki język, celem powszechniéjszego użycia. W Pszczole Czeskiéj, robi pan Chmeleński nadzieję, że dzieło to i na czeski język przełożone będzie, i dodaje, że pan Maciejowski (jak się do-

wiadujemy jest obecnie w Pradze) wyszukuje materyjały po księgozbiorach do 3go i 4go tomu. My dodać musimy, że dzieło wspomnio e śmiało policzyć należy do najpierwszych ozdób literatury polskiej.

Zasługi Grangégo około polepszenia pługa powszechnie uznane są we Francyi i w Niemczech. Sześć wschodnich departamentów Francyi, gdzie oranie z powodu ciężkosci gruntu nader jest trudnem, powszechnie prawie przyjęto pług Grangego i wynalazek ten znaczne już robi korzyści. Kilka więc towarzystw rolniczych téj okolicy, uznając zasługę około rolnictwa wynalazcy Grangé (który jest parobkiem od roli) dało mu medale i pochwały. Komisyja towarzystwa *D'encouragement* przedstawiła go do wielkiego medalu tegoż towarzystwa, a komisyja akademii do nagrody, wyznaczonej przez zacnego Montyon, którą on niechybnie uzyska. Rząd francuzki, powziąwszy zdanie sprawy o tym wynalazku, kazał mu wypłacić 3,000 frank. bądź, ażeby go zachęcić do dalszego poświęcania się udoskonaleniom gospodarstwa wiejskiego, bądź dla tego, że tenże, chcąc bardziéj wynalazek swój upowszechnić, wyrzekł się nań przywileju. Wyszło w języku polskim we Lwowie opisanie tego pługa w drukarni Piotra Pillera, przełożone z francuzkiego, pod nazwą: Nowy pług francuzki bez przewodnika; ze cztérma rycinami.

Pismo wiédeńskie *Archiv*, przerwane śmiercią redaktora Ridlera, znowu z początkiem roku przyszłego wychodzić zacznie. Z rozszérzeniem dążności pisma tego i tytuł odmieniony zostanie i odtąd pismo to wychodzić będzie pod nazwą: *Oesterreichische Zeitschrift für Geschichte- und Staatenkunde.* Obejmować także będzie literackie, artystyczne i krytyczny przedmioty, i lubo rzeczy krajowe będą w niém miały pierwszeństwo, wszelako i zagraniczne pominione nie zostaną. Najznakomitszych literatów Austryi wezwano na współpracowników, jako to: Hammera, Mailatha, Grillparzera, Zedlitza i t. i, a redakcyją obejmuje pan J. P. Kaltenbaeck, znany z wielu prac dziejopisarskich.

Wyczytujemy z dodatku do Gazety Wiedeńskiéj z d. 10. czerwca, że zgromadzenie jeneralne akcyjonaryjuszów towarzystwa austryjackiego względem oświecania gazem zwołane zostało do Wiédnia na dzień 19. czerwca r. b., a zatém dowiadujemy się o istnieniu tego użytecznego zakładu w stolicy Państwa Austryjackiego.

Dziennik medyjolański *Echo* udziela nam wiadomości o nieszczęśliwym przypadku, który dotknął sławnego rzeźbiarza Marchesi w Medyjolanie, a z nim cały świat artystyczny. W nocy z d. 27. na 28. maja wybuchnął ogień w głównem zabudowaniu ogrodu publicznego w Medyjolanie (w którego czelnym salonie i pokojach pobocznych założył był kawaler Marchesi już od lat kilku swoję, tak od własnych ziomków jak i cudzoziemców podziwianą pracownią) i z taką gwałtownością rozpostarł się, że wkrótce powała zapadła się z okropnym trzaskiem, i ogień pochłonął ze 300 modelów, które wszystkie od lat 25 mistrzowską ręką Marchesa utworzone były, a między témi także model na Beccaryi kolosalny posąg, co podczas ostatniéj wystawy powszechną uzyskał pochwałę. Również stały się pastwą płomieni niektóre już ukończone lub na ukończeniu będące statuy i płaskorzeźby marmurowe, także wiele narzędzi i rysunków tegoż artysty, i dopóty nie przestał srożyć się ogień, aż nic już więcej nie miał do zniszczenia.

Zatrudniają się planem do zaprowadzenia powozów parowych w Lombardyi, bez kolei żelaznéj, gdyż płaszczyzny kraju tego robią tę ostatnią niepotrzebną.

Adwokaci w Neapolu zawiązali między sobą towarzystwo, mające na celu wspieranie ubogich wdów i siérot przeciw procesowéj napaści majętnych przeciwników. Podejmują się, każdy proces, w którym jest słuszność na stronie ubogich, prowadzić bezpłatnie aż do ukończenia i nawet tegoż koszta zastąpić.

Dowiadujemy się z Humboldta: *Mélanges asiatique*, że w Chinach kopanie studzien artezyjskich daleko dawniej, jak u nas, jest znane. Sposób postępowania przy kopaniu jest cokolwiek do naszego podobny, ta tylko zachodzi różnica, że Chińczycy przymocowują świder do powroza, my zaś do długiego drąga, złożonego z wielu pojedynczych, a połączonych z sobą części. Chcąc świder wpuszczać lub wyciągać, Chińczycy kręcą powróz na dół albo do góry, gdy my części pojedyncze naszego drąga zwykliśmy przyśrubowywać, lub odśrubowywać; przeto postępowanie Chińczyków w téj rzeczy zdaje się być od naszego bardziej skutkujące. Projektowano już we Francyi, by przy studniach artezyjskich pracować sposobem Chińczyków, lecz nie wglądnioно w to, jak będzie można prześwidrować warstwy iłu, których takie tylko narzędzie chwycić się może, co musi być jak świder ciesielski kręcone. Dziwną także zdaje się być rzeczą, że w Chinach nakładem 7 do 800 frank. kopią doły na 2,000 stóp głębokie, gdy we Francyi doły 3 do 400 stóp głębokosci często 12 do 15,000 frank. kosztują. Ubolewać wielce należy, że o téj sztuce mamy tylko doniesienia missyjonarzy, a ci, dla braku technicznych wiadomości, bardzo nam o tem niedokładnie pisali.

Na wystawie dzieł przemysłu, odbywającéj się właśnie w Paryżu, zwraca uwagę instrument, nazwany *agatografem* przez wynalazcę swojego pana J. N. Symyan, za pomocą którego wszystko, co tylko chcemy, da się ująć w perspektywę. Doświadczenia, robione przez wielu miłośników z tym aparatem, dowiodły, że użycie jego jest równie łatwe, jak niezawodne. Nawet osoby, mało w rysunkach ćwiczone, mogą bardzo prędko za pomocą tego narzędzia, nie tylko odrysowywać jak najwierniéj okolice, figury i pomniki, ale oraz bez dotykania się kopijować obrazy.

Pisma niemieckie donoszą: Statki parowe między Londynem i Hamburgiem potrzebowały dotąd zawsze 70 godzin, biorąc średnią proporcyją, do odbycia téj podróży przy zwykłéj pogodzie. Teraz jest w zamiarze wprowadzić tak zwane opozycyjne statki parowe, które tę podróż z zupełném bezpieczeństwem i za mierną cenę w połowie czasu tego odbywać będą. Pierwsza proba się udała, gdyż podobny statek parowy drogę z Greenock w Szkocyi do Londynu (zkąd dalej jest jeszcze, jak z Hamburga do Londynu) odbył w 33 godzinach. Jeżli więc do tych nowych środków połączenia przyczyni się jeszcze, co wkrótce nastąpi, regularna żegluga parowa między Hamburgiem i Hawrem, spodziewamy się więc ztąd nowych korzyści dla handlu zachodniéj Europy ze wschodnią i półno°ną, co dotąd niepodobieństwem prawie się zdawało.

Jedném z najznakomitszych przedsięwzięć, jakie panowanie Mehemeta Ali w Egypcie odznaczą, będą bezwątpienia mające się wkrótce rozpocząć roboty na Nilu. Rzecz idzie o przegrodzenie téj rzéki u rogu Delty, w punkcie, zwanym Krowim-Brzuchem *(Batnel Bagnar)*. Jestto właśnie miejsce, które Napoleon przeznaczał na założenie wielkiego miasta, mającego z czasem, według jego planów, stać się stolicą Egiptu. Celem wspomnionego przegrodzenia Nilu jest uregulowanie wylewów, tak, iżby wszystkie błonia Delty i okolic według upodobania wodą zalewać można było. Skutki tego przedsięwzięcia są nieocenione. Zarząd robót tego planu poruczony został inżynierowi paszy, panu Linaut. (Tyg. Pet.)

Umieszczamy niektóre przysłowia arabskie: Pożyczane suknie nie grzeją. — Przez płot nizki każdy przeskoczy. — Matka niemowy rozumie głos jego. — Najlepsi przyjaciele są ci, co się wspólnie do dobrego zachęcają. — Najlepszymi towarzyszami twoimi, gdy siedzisz, są książki. — Najprzyjemniéjsze odwiedziny są te, co najkrótsze. — Złap złodzieja, nim on ciebie złapie. — Cieśla zawinił, a krawca powiesili. (U nas istnieje podobne przysłowie: Ślusarz zawinił, a kowala powiesili.)

REDAKTOR, MIKOŁAJ MICHALEWICZ. DRUKIEM PIOTRA PILLERA.